

jakoteż wypróbowanych. Nie powoduje to jednak zamknięcia naszych powiek na współpracownictwo zawsze pożądane Czytelników.

Dział ilustracyjny zawierać będzie znakomite zdjęcia, jakoteż rysunki zapewnionych nam piór artystycznych.

Ścichł na wschodnich rubieżach gwar oręża, Polska i Rosja podały sobie dłoń dla pokoju, gwarantując tem rozwój i pokojowe prace dla krajów. Trzeba zatem ze zdwojoną siłą zabrać się do odbudowy i pracy pokoju. Jedynym niemal w tym wypadku przewodnikiem i ostoją jest pismo.

Obowiązkiem więc każdego jest pismo młodzieży czytać, popierać i z niem współdziałać. Czy to zatem będzie gimnazjalista starszy lub młodszy, pensjonarka, seminarzystka, czy uczeń szkół zawodowych, wszyscy „Czuwaja“ mieć powinni.

W celu lepszego zżycia się z młodzieżą i aktualności, pismo ukazywać się będzie periodycznie co dwa tygodnie. Z miesięcznika przechodzi przeto na dwutygodnik, w zmienionym formacie. Nowa, sprężysta administracja z dziwną punktualnością uskuteczniać będzie wysyłkę pisma tak dla miejsc rozsprzedaży, jak i dla prenumeratorów.

Spodziewamy się, że Czytelnicy nasi, popierając „Czuwaja“ ze zdwojoną ciekawością, nie pozostaną w tyle w szerzeniu na każdym kroku jego idei.

REDAKCJA.

## ŚWIT.

Staszek otworzył zaspane oczy i przeciągnął się.

„Co to, już jasno? Ale się człowiekowi nie chce wstawać! Wszyscy jeszcze śpią, lepiej ich nie budzić!“

Owinął się szczelnie w płaszcz i patrzył. Sen go gdzieś odbiegł, jakaś dziwna rzeźwość owładnęła jego umysłem. Nie czuł zmęczenia po wczorajszym marszu, nogi odparzone nie piekły. Patrzył — bo miał na co patrzeć.

Leżał na polance, zamkniętej ze wszech stron lasem. Polanka taka cudna, szmaragdowo-zielona, a w głębi ciemny, poważny bór, sędziwy jeszcze resztkami ciemności. Wokoło leżeli pomęczeni towarzysze, pokręceni w koce, bunki, szyniele, co kto miał. Ranek był chłodny, lekki wiaterek chwiały drzewami, które zdały się szeptać modlitwy paranne. Na liściach i trawie perliła się dżamentowo rosa, poza drzewami można było dojrzeć zapalającą się lunę wschodu.

„Hej, hej!“ — westchnął Staszek — „co to za czasy były! Co za cudne wschody słońca tam, w mojej wsi rodzinnej“.

Przewijały mu się przez głowę wspomnienia. To dziwna, srebrna od rosy, lekko zamglona dal łąk, to poważne olbrzymie parku dworskiego, różowiące się z radości do wschodu, to ciemna, daleka linja gór, z poza których wyłaniała się tarcza życiodajnego słońca... I widział siebie tam na wzgórku w parku, kiedy zapatrzony w dal nie słyszał kroków zbliżających się...

„Już pan tu, panie Staszku? Tak wczas?“ — budziło go z kontemplacji.

I widział... widział białą postać, anioła niemal, którą rzucił, bo wołał go obowiązek, bo Ojczyzna domagała się daniny krwi... Wspomnił chwilę pożegnania i ten odjazd o świcie...

Zdawało mu się niemal, że słyszał szept modlitwy matki, która z okna patrzy ku jutrzence i modli się za niego. A park jej wtóruje posępnym, długim jękiem... I jeszcze ktoś tam modli się za niego, tam, na wzgórku...

A on? Tyle potyczek szczęśliwie odbytych zostawił za sobą, tylu towarzyszy widział w mecie konania, tyle razy kula przeszła mu ubranie, nie czyniąc najmniejszej szkody. Że wyrobił w sobie przekonanie, iż żyć musi i przeżyć!

Był świt... Na niebie luna powoli zamieniała się w złoto, pierwsze błyski odbijały się wszystkimi barwami tęczy w rosie... Z kątów polany unosiły się lekkie opary, niby dymy ofiarne... Staszek widział twarze uspiomych, jedne uśmiechnię-

te, drugie jakimś bólem skurczone, a sztandar z białym orłem chwiały się lekko...

Wtem zdało mu się, że słyszy szelest. Coś jak szara postać Moskala mignęło między drzewami. Ale nie! Chyba omyłka? — Moskałe tutaj? Tu, w jądrze boru? O tym czasie? I znowu walka? W ten świt mowy, promienny?

Nie! Cicho było, ni szelestu, ni chrzęstu gałęzi... Jenó czasem jakiś ptak śpiący poruszył się na gałęzi, strzepując rosę, która jak wielkie lzy spadała na trawę. Mchy brodate pokryte były jakby srebrnym pancerzem.

„Budzić ich? A nuż? Już świt!“ — zastanawiał się chłopiec.

Ale w tej chwili ogarnęło go straszne rozleniwienie.

„Poco? Tacy pomęczeni! Niech odpoczywają lepiej!“

Tymczasem spoglądał ku wschodowi i oniemiał... Całe morze krwi, wszędzie, wszędzie krew. I te złote promienie słońca, drgające na liściach i blask na niebie i rosa, wszystko było tak krwawo czerwonym...

„Rany Boskie!“

Spojrzał na towarzyszy. Pokryci również wilgocią ranka, wyglądali jakby ukapani we krwi... Nj, tylko krew...

„Co to znaczy?“

Spojrzał w las i zamarł bez ruchu... Przed oczyma jego przewijał się dziwny korowód mar, dawno minionych chwil... To dymy bitewne, to jakieś stosy trupów, przesiąknięte czerwienią, to ogniska krwawo łyskające wśród drzew, to zgłiszcza popalonych chat... A nad tem wszystkiem niebo oblane purpurą, straszne, złowroźne...

„Czy oni się może już nie zbudzą? To trupy może?“ — pomyślał o towarzyszach.

„Już czas! Zbudź ich!“ — szeptało mu coś do ucha.

A tu wokoło krew, świeża, czerwona krew.

Znowu szelest! Stach zerwał się jak opętany, widząc między krzakami szary szynel moskiewski. Pochwycił sztandar i potężnym głosem zawołał:

„Wstawać! Już świt! Do broni!“

Padł strzał i chłopak runął na mokrą murawę. Polana zaroila się od ciemnych postaci, znów walka miała się wywiązać. A Staszek leżał spokojny, z oczyma utkwionemi w niebo, owinięty sztandarem... Żrenice jego nie drgały, ale mimoto patrzyły... oglądały mowy świt... świt bez krwi i walki,

Z. Przybyłkiewicz.